NUMER 10. DNIA 9-go MARCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

JÓZEF JEDLICZ.

WIDMA.

WŁADYSŁAWOWI ORKANOWI

Widzę was dotąd dawni nascy ludzie, siwi staruszkowie, o długich niewieścich włosach, o twarzach gołębich i orlich sercach. — Ani jeden rys waszych rzeźbionych twarzy nie zwietrzał mi w pamięci, ani jeden promień waszych natchnionych spojrzeń nie uwiądł w mej duszy, ani jedno słowo waszych ust nie umarło w mem sercu...

Widzę was dotąd i widzieć będę, dopóki tylko pamięć moja trwać będzie.

Przed oczyma mej duszy jawi się głucha, tajemnicza, pełna nieuchwytnych dreszczów pomroka dymnej izby, zaludniona rojem wskrzeszonych widm. Tyle tu w mroku dziwów i tajemnic, które umarły dawno i nie ożyją już nigdy... Widzę białą nalepę i krwawą wstęgę watry, obwijającej suche, na krzyż ułożone polana. I widzę dobrą, czcigodną twarz ojca, pochyloną nad watrą... Słyszę smętny chichot płomieni i upiorny skowyt wiatru płaczącego w czeluściach. — Śnieżne nici dymu snują się z trzeszczących polan, jak pajęczyna, powiewają w mroku, niby blade zwitki lnu, plączą się w szare pasma i migają złocistą rząsą iskier wylatujących z żaru. Gniewny oddech watry rozwłóczy szare pasma i wydyma je coraz wyżej i wyżej, aż tam, pod czarną powałę, gdzie uczepione wilgotnych czeluści, pełzają w mnogich fałdach, niby wątki siwego przędziwa, i żywą ruchomą oponą zwieszają się ze stropu... Za ciemnem nawpół przymarzłem oknem, w głuszy nocnej, huczy monotonny szum wód; rytmicznym jękiem rozdzieranych wiklin wzdycha zawierucha, szponami z lodu tłucze w szyby i leci z głośną skargą na białe ogrody. — Czasem opodal, nad cieplicą, wylękłe drzewo zaskrzypi boleśnie, czasem łoskot jakiś przeraźliwy huknie w ciemnościach. A krwawe blaski watry skaczą po izbie w warjackich podrygach, uderzają płomieniem w omroczone sprzęty, w malowane obrazy na ścianach i w wasze ciemne pomarszczone oblicza, starcy sąsiedzi...

Widzę was dotąd dawni nascy ludzie, siwi staruszkowie...

Siedzicie rzędem na długich ławach, owiani łagodnym czarem ukochania, pełni groźnego majestatu przeżytych dni, cisi, nieruchomi i dostojni. Nie wiem jakie wichry opaliły wasze bronzowe twarze, jakie deszcze zmyły barwę waszych włosów, które zimy ubieliły je szronem... Z poza mgły wyłaniacie mi się niemą, smętnie uśmiechniętą rzeszą, zwiędli i siwowłosi. — Drżącemi rękami rozwijacie zmięte błony „macharzyn“, z powagą napychacie mosiężne fajki i, milcząc, wpatrujecie się w ogień rozumnemi, pełnemi głębi oczyma. W takt stłumionych, dreszczem przejmujących słów opowiadającego, przytakujecie mądremi głowami, w takt jego westchnień

i z waszej piersi wydzierają się ciężkie westchnienia... Wasze orle źrenice powłóczy bielmo zadumy; rzeczywistość odbiega was, jak płocha, ostatnia nie rozumiejąca was już kochanka. Duchy wasze powracają znowu w święty mrok ubiegłych czasów i tam odnajdują swoje dziwne królestwa. Wy nie pytacie się „kto“ i „kiedy“, wy znacie dobrze swoje państwo i rozumiecie się przedziwnie... Gdy jeden znużony przerwie opowieść, w tej chwili ochotnie podejmuje ją drugi, niby doświadczony a zgodny władca, berło wspólnie odziedziczone. Każdy wyraz, każdy jęk i uśmiech jest dla was zaklęciem, wywołującem jakieś ogromne, tajemnicze światy... I niedarmo nasłuchujecie pisku wiatru, śpiewu płomieni i szeptu drzew wylękłych, niedarmo szepcecie coś bezzębnemi usty...

Widzę was dotąd dawni nascy ludzie, siwi staruszkowie...

Od czasu do czasu struchlały wiatr staje w czeluściach... Za oknem głuchnie żałobna pieśń nocy, blednie mrok zawieruchy. Krwawe blaski w izbie milkną nieruchome i mrą... Wówczas urywa się wątek opowieści. Pochylacie smutnie głowy sędziwe i siedzicie długo bez ruchu... Martwa głusza ogarnia izbę, watra przygasa i przez chwilę noc spogląda w okno upiornem okiem księżyca...

Naraz zgliszcza zastygłej watry zasyczą boleśnie. W rubinowej gardzieli żaru poczyna coś łkać i kwilić przeciągle. W czarnych głębiach czeluści wzdychają żałosne echa, pełne jęku i pisku, jakby tysiące ust dziecięcych zanosiło się od płaczu...

Wtedy wszyscy około watry tłumimy oddech w piersi i żegnamy się z lękiem. Kobiety wzdychają trwożnie, dzieci tulą się przerażone i dłońmi zasłaniają oczy. Ojciec błogosławi watrę i świeżych drew dokłada w ognisko... A jeden z was powstaje, zbliża się do nalepy i mówi wolnym, donośnym głosem:

— Dusze pokutujące w ogniu i wodzie, w ciszy i wichrze, wieczny odpoczynek racz wam dać Panie! W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

I znowu wiatr wywija czerwoną chorągiewką watry, migotliwe widma i półcienie czają się w kątach... Siwy dym pełza po nalepie i faluje pod stropem, krwawe blaski pląsają po izbie. — Zimna kurniawa tłucze w szybę swem białem skrzydłem i żenie jęcząc poprzed okna, jakby przelatywały z nią całe tłumy zawodzących dusz...

A drżący starzec żegna się poraz wtóry i po chwili snuje nanowo swoją posępną opowieść o „tamtych“ dniach i o „tamtych“ czasach.

. . . .

Widzę was dotąd, dawni nascy ludzie, siwi staruszkowie...

W białych snach księżycowych zmroków, w gorzkiem sieroctwie bezsennych nocy, w obłędnych półjawach marzeń, przychodzicie do mnie, niewiadomo skąd... Z waszem przyjściem pierzchają niespożyte wymiary czasu, niby znikome kształty mgieł wieczornych o wschodzie księżyca — wszelka istność, żywa i umarła, jawa i tajemnica, zlewa się w jedno niepodzielne brzmienie wieczystej, nieutulonej pieśni... Z migotliwych obszarów dali idziecie z cichym uśmiechem smutku i gwarnym tłumem zaludniacie moją mroczną samotność. — Barwnym chorowodem pochylacie się nademną i niemą wymową szepcecie mi swoje dziwne tajemnice...

Pełni bolesnych westchnień, spowiadacie się z minionych cierpień, rzesz bezimiennych, z płomiennych wizyj, które urodziły się w ponurej ciszy tajonych łez i tęsknot, opromienione złotym majestatem zorzy. Z purpurowych wschodów nadziei i radosnych dni szału, które rozpłonęły ognistą łuną, wywołane echem rozpłakanych dzwonów i błagalną pieśnią ludu. Z pamiętnych, niezapomnianych dni chwały, tryumfów i poświęceń...

Stłumionym szeptem wspominacie o sinych mrokach trwóg i bladych przerażeń; o nocach klęsk i żałoby — parnych, złowieszczych nocach męczeństw, skąpanych w potokach łez i krwi...

Zbielałemi wargami mówicie o onych „złych rokach“, które szły, jak zawierucha, brzemienne nieszczęściem — o niespodzianych łunach pożarów i jadowitych tchnieniach morów...

Z bladym uśmiechem opisujecie dziwne tajnie zaginionych uroczysk, czarodziejskie zioła, które nigdzie już nie rosną, cudowne źródła, które dawno już wyschły — kryształowe pałace gór dalekich, zagrzebane skarby i zapomniane ścieżki...

Wśród zagadkowych przytakiwań opowiadacie o smętnych tajemnicach mrocznych dni i czarnych nocy — o zaklętych ostępach borów odwiecznych i niemych, zadumanych oczach jezior, patrzących w ciemne niebo — o ukrytych zaciszach polan

samotnych, o czarnych kwiatach bolu i złotych kwiatach nadziei...

I szepcecie mi o wszystkich dziwach i cudach, widmach i przeczuciach, które wykwitają na bezbrzeżnych łąkach marzenia...

. . . . , .

Widzę was dotąd, dawni nascy ludzie, siwi staruszkowie...

Tak niegdyś drżącemi usty szeptaliście nam podczas długich wieczorów zimowych, promienni łuną wspomnień, posępnie uśmiechnięci i zadumani...

SZUBRAWCY.

Jest u nas jedna, dosadna i krótka etykieta: szubrawiec!... Co drugi człowiek, co druga dusza nosi na sobie to rdzawe piętno, — pomazanie na drodze życia, — błogosławieństwo rodaków... Kto to? Szubrawiec!... Po zliczeniu sprawiedliwych, zostanie popiół, zgliszcz, — a na nich męt, pustka, nic... Lekkomyślne, popędliwe sądy, fabrykowanie demonów nikczemności, rzucanie błotem i kopanie, powtarzanie na wiarę legend o ludziach, oplwanie ich, — to kronika codzienna, chleb nasz każdej godziny, nieledwie minuty. Wyroki nasze są przeważnie gorączką, maligną, majaczeniem na jawie, słowem z mózgu, — nie z serca. I z passją, godną lepszej i mądrzejszej rzeczy, szarpie się cześć, ustala poglądy i fałszywą wytwarza o jednostkach opinję, — nie z przekonania, nie z wiary, nie z dowodów i surowości sumienia, tylko z lekkomyślności, nie lubiącej badać, dochodzić, mozolić się, wolącej pełzać po wybojach nienawiści i poziomości. Ta karygodna i zabójcza atmosfera wyrosła, rozbujała się i rozhulała na fali emigracyjnej, — w wirze wzajemnych ambicyj, prywat, zazdrości i pęcherzowatych zachcianek, gdy urojone zdrady namnożyły się, — a różne komitety skalpowały ze siebie skórę na patrjotycznej licytacji.. Do kraju, poszarpanego niezgodą i skłonnego do porywczych sądów, wniesiono tego Baala, — zatruwającego powietrze i rujnującego moralność... Przy usposobieniu dynamitowem społeczeństwa, nowy bożek wżerał się i wżera w uczucia setek, gnębi je, napełnia melancholją i odcina od szerokiego życia, od zbiorowej duszy narodu... Nie ma zmiłowania, ani miłosierdzia, — nie ma samarytańswa, — nie ma świadomości wspólnego żywiołowego „ja“, — nie ma litości, — jest mróz, szkalowanie, zupełne zeszpecenie estetyki natury i etyki humanitarnej. Im więcej i tężej pod jednostkami dołki wybieramy, — tem pewniej dogrzebiemy się przepaści dla wszystkich... Wystarczy działać, chcieć, mieć własne oblicze i nerw, aby stanąć na czarnej liście, — na szubrawym szyldzie... Klawiszem głuchym bądź, bez struny życia, — a pójdziesz w aureoli, w poważaniu, w czci. Gdy z piersi wyrwie się pieśń, głos bodaj skowrończy, — następuje potępienie, warczenie i gromy... Bierności podaje się rękę na Olimp, — siłę i mądrość pcha się, jak skarlałe, chorowite dziecię na Tarpej...

Bogdajże raz już społeczeństwo nie marnowało tego, co ma dobrego, jędrnego, uczciwego i pełnego zapału!... Symfonją najharmonijniejszych tonów muszą być sądy, tęczą na niebie pojednania, — nie chmurą, zapowiadającą grom. — Krzywda rodzi krzywdę, nienawiść nienawiść! — Najwyższą instancję w ocenach ludzi stanowi prawda, rzeczywistość, pobudki działania, nie temperament i mądralstwo językowe... Iluż my biedaków podeptali, ilu ponicowali, zgryźli zębami i wystudzili im dusze, wystudzili myśli, wystudzili ambicje! Nie szanujemy pracy, bo przeważnie próżnujemy, żółcią plujemy, bo nas trawi zazdrość, — mamy ręce nie do pomagania, — ale spychania. Stoimy,

jak wrogi u własnych progów i zalewamy wszystko asafetydą. Niech niszczeje! niech ginie!

Ci, co mają serce przepełnione żalem, — ci, co idą samotni a odpychani, — ci, co duszą się od zadanych im zniewag, — ci, co biegną do ludzi, a spotykają głazy, — niosą ofiary za grzeszność społeczeństwa... Historycy kultury nie będą sobie umieli wytłómaczyć dzikości, jaka u nas w ferowaniu opinji panuje i pociągną krzywdzicieli przed swój trybunał, który zaiste ciężką będzie miał robotę. — Lekkomyślność, zazdrość, brak zrozumienia dla wielkich ideałów narodowych, oddychanie życiem od rogatki do rogatki, obskurantyzm, anarchja myśli i anarchja społeczna, ta sama, co dawniej sejmy rozbijała, a potem gardła rozpijała, — wreszcie szła kupczyć sumieniem Rzeczypospolitej, — przybrała dziś inną postać, choć ma tę samą treść... Utrąca się mianem szubrawców wybitnych ludzi, utrąca dziennikarzy, literatów, inicjatorów, — a iluż ich mamy! Partyjna zajadłość prowadzi niekiedy do zdziczenia i ostatniego zwyrodnienia... Zupełnie nie ma perspektywy, ani miary krytycznej! Urodzić się Polakiem, — to już „nieszczęście“, — ale dlaczego być gryzionym i bitym najbezzasadniej przez swoich?... Znam potężnego muzyka, chwałę naszą, którego młodzik nazwał... szubrawcem za szczerą recenzję, — a dzienniki młodzikowi użyczyły miejsca do napaści; znam niepospolitych zasług literata, którego sprofanowano bezzasadnie; znam... ach, iluż ich znam szubrawców, przed którymi trzeba czoła uchylić do kolan... Gdyby nas chciano z własnej opinji sądzić zagranicą, — nie byłoby miejsca dla tego narodu na świecie. Ogół nieoheblowany, niespolerowany na jednym krańcu, w pośrodku najgorszy przetwór: półcywilizowani z dużych i małych Mościsk luminarze, — a na drugim krańcu przekulturyzowani i przeanalizowani arystokraci ducha w malutkiej garstce, wystawieni na działanie barbarzyństwa... Niedostatek prawdziwej oświaty przyczynia się do epidemji choroby, tej nieszczęsnej szubrawomanji, którą się stempluje ludzi... Już swojski Laroche — Foucault, Maksymiljan Fredro, zauważył, że „którzy Polacy drugich ganią, tacy Polskę najprędzej zgubią“. A jakżeż nieśmiertelnym był ów złotousty kaznodzieja, gdy prawił w kazaniach sejmowych, że „miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może“. — Rozwodząc się zaś szeroko o zgodzie domowej, święte wyrzekł słowa: „Jako możem mieć odpuszczenie grzechów naszych, gdy braci naszej nie odpuszczamy, a waśni i nienawiści z nimi nie oddalamy i z braterskiej się miłości wyzuwamy?“... Umiarkowania, europejskości, dobrej wiary potrzeba nam w ocenach ludzi, — nie ust od ucha do ucha, — a przedewszystkiem sumienia, tysiąc razy sumienia. „Sprawiedliwość wynosi naród, a mizerne ludzie grzech czyni“... mówi pismo święte... Sprawiedliwości, jak najwięcej, wspinania się do światła, do ideałów, — a nie polowania wszędzie na brudy. Nie wolno nikogo zabijać, nie wolno nikogo niesłusznie spotwarzać.

Ernest Łuniński.

Poezja w XIX. stuleciu.

Ze wszystkich tutejszych prelegentów, biorących udział w cyklu wykładów, mających objąć wiedzę i życie w XIX. wieku, najtrudniejsze zadanie miał p. Kasprowicz. Nietylko dlatego, że objąć miał najszerszą dziedzinę życia ludzkiego, bo one wszystkie są ogromnie szerokie. Fizyka, chemja, socjologia, biologja, nawet malarstwo i muzyka, choć pozornie tak w szerokich kołach rozpowszechnione, dla pewnych koniecznych do swego rozumienia warunków są przecież rzeczą specjalistów. Tylko do zajmowania się literaturą nie potrzeba, jak sądzę, faktycznych studjów przygotowawczych. Więc każdy, kto umie czytać,

już uważa się za powołanego do zajmowania się najwyższemi jej zagadnieniami. Nie ma też dziedziny, w którejby publiczności, chodzącej na odczyty tyle było wiadomem, co o literaturze. To też, jeżeli trudną było rzeczą w streszczeniu rozwoju którejkolwiek dziedziny powiedzieć publiczności przecież coś nowego, to najtrudniej to chyba być musiało w dziedzinie poezji.

P. Kasprowicz zaraz na początku swojego odczytu, zastrzegł się też, że nie ma zamiaru wyczerpywać materjału pod względem faktycznym, lecz że zaznaczy tylko to, co uważa za znamienniejsze dla rozwoju poezji. Naprzód więc zaznaczył, że nie uważa za poezję wszystkiego, co pod tym sztandarem ukazało się w XIX stuleciu. Z zakresu obejmowanego przezeń mianem poezji, wyrzuca prelegent, oprócz wierszoróbstwa, wszystko, co zdobyło miano rzeczy wielkiej, tylko dzięki jakiejś publicznej użyteczności. Nawet to nie jest dla p. Kasprowicza poezją, co jak najlepiej odbija w sobie stosunek twórcy do świata. Jest nią tylko to, w czem objawia się pokrewieństwo duszy ludzkiej ze źródłem bytu, z „absolutem“. Wszystko, czy to będzie potem obraz społeczny, czy jakiś stan psychiczny, o tyle ma dlań wartość, o ile służy do zaznaczenia tego pokrewieństwa.

Oczywiście, że patrząc z takiego stanowiska na poezję XIX wieku, musiał p. Kasprowicz na zapytanie: czy wiek XIX przyniósł poezji coś nowego? — odpowiedzieć: Nie. Jak odwiecznym jest sam absolut, tak odwiecznem jest i zaznaczanie się pokrewieństwa z nim duszy ludzkiej. Postępu żadnego niema. Wszystkie hasła i teorje, jakie towarzyszyły pochodowi poezji w XIX stuleciu mają, zdaniem p. Kasprowicza, o tyle znaczenie o ile stanowiły pewne ujęcie form każdoczesnych. Jeżeli będziemy abstrahować od tej chwilowości, to się okaże, że wszystko już było. Samo to, że np. Sienkiewicza chwali się np. za homeryczność jego opisów bitew, jest dla p. Kasprowicza wyrazem poczucia, że Sienkiewicz i Homer to tylko dwa różne wyrazy jednego i tego samego rdzenia. Jako argument ponadto przytacza prelegent opis bitwy z „Mahabharaty“.

Takich dokumentów przytacza prelegent cały szereg. „Oda do wiatru“ Schelleya znajduje znakomity prototyp w hymnach Rigwedy, nastroje i kształty Maeterlincka w pochodzie płaczek w „Choeferach“ Aischylosa. Nawet w sprawach czysto wersyfikatorskich wiek XIX nie wyszedł ponad to, co już było. Sonet, rondo, tercyna, stanca, to wszystko przed tem już było, a wreszcie używane chętnie przez najnowszych wolne rytmy, nadające się do wyrażania różnych przeczuć i tęsknot, znajdują swój pierwotny wzór w „Kaskadach“ Pindara i w biblijnej „Pieśni nad pieśniami“. Powtarzanie zwrotów znajduje się już w pieśniach Ossjana a aliteracja w „Nibelungach“ i w „Gudrunie“.

Ale pomijając nawet szczegóły i śledząc ducha dzieł posiadających najwyższą, wedle p. Kasprowicza, wartość, bo odbijających w najwyższym stopniu dążenie do zlania się duszy ze źródłem wszechbytu, stwierdza prelegent, że nowego nic wiek XIX nie przyniósł. Najwyższym tego wyrazem w naszej poezji jest dla niego „Król Duch“ Słowackiego, którego, zdaniem jego, dostatecznie niedoceniano dotychczas, a nawet wielu z tych, co go doceniają pozornie, dotąd jeszcze nie rozumie. Mało mu dorównuje utworów dawniejszych, ale pokrewne są. Wspomniana „Mahabharata“, „Raj“ w „Boskiej komedji“, oto utwory dawniejsze, dorównywające mu olbrzymiością swoją. Z pokrewnych taka „Glossa Św. Teresy“ Krasińskiego ma swój odpowiednik w hymnach św. Franciszka z Assyżu, poezje ojców współczesnej poezji Novalisa i Verlaina w mistycznych pieśniach św. Bonawentury, a „Hamlet“ Szekspira nie ustępuje w niczem „Faustowi“.

Mimo to stwierdza p. Kasprowicz kategorycznie, że ci nowsi, nie są naśladowcami, a podobieństwo wynika tylko z niezmienności zasadniczych składników duszy ludzkiej, dążącej do zlania się z bóstwem, pomimo wszystkie lokalne i czasowe przeszkody. „Król duch“ zawiera wszystkie pierwiastki współczesnej poezji zachodniej, pomimo, że zupełnie nie był jej znanym. Słowacki nie znał Scheleya, a jego „W Szwajcarji“ zawiera te same pierwiastki twórcze, co schelleyowskie „Alastor“ i „Epipsichidjon“. Nie znali się wzajem, odczuwający tak samo zjawiska życiowe, Novalis i Schelley. Należy tylko odrzucić demokratyzm tego drugiego będący do pewnego stopnia reakcją na dogmatyczność współczesnego życia angielskiego. Poza tem, wedle jednego i drugiego pisarza, człowiek „to istota pełna żądz wysokich, patrząca przed siebie i za siebie; odrzuca on wszelki sojusz z tem, co mija i ginie, żyje tylko w przeszłości i w przyszłości, nie jest tem,

czem zdaje się być, lecz tem, czem był i czem będzie... żyje w nim duch, jest nienawiść nicości“.

W pojmowaniu życia duszy ludzkiej, dopatruje się p. Kasprowicz głównego rysu poezji XIX stulecia. To błądzenie po wieczności, odrywanie się od rzeczywistości i nienawiść nicości wyraża się w takim kierowniczym duchu poezji XIX stulecia jak Bajron pod postacią mierzenia się, walki z Bóstwem. Ten subjektywizm, uzasadniony potem filozoficznie w Fichtem, a nowszymi czasy w Nietschem, był także treścią „Improwizacji“ z III Części „Dziadów“, był w panteizmie Schelleya, w „Medytacjach“ i „Harmonjach“ Lamartina, w nadzmysłowych żądzach Novalisa, Rosettiego, lub Verlaina, w ekstazach mistytycznych Swinburn'a, w symbolicznych horyzontach morskich Coleridge'a, w przeczuciach i lękach Maeterlincka, w litości Alfreda de Vigny nad dolą człowieka, w pesymizmie Leopardiego. Wszędzie jest to samo dążenie odwiecznej i niezmiennej duszy do wyzwolenia się z pod supremacji więzów doczesności, różne w objawach o tyle, o ile ta doczesność jest różną.

W takiej poezji stanowią oczywiście opisy zewnętrznych form świata rzecz podrzędną. Znikają: sielanka, obrazek rodzajowy i pejsaż zwyczajny. Cała przyroda staje się w takich warunkach tylko szeregiem rozmaitych ruchów duszy odwiecznej, niezdolnej się wypowiedzieć zupełnie. Prelegent cytuje tu Schelleya, dla którego roślina jest „wykłuwającą się na powierzchnię tajemnicą, która nie może się poruszyć, ani przyjść do słowa“. Jeszcze oryginalniej pojmował przyrodę Słowacki, u którego kształty i barwy łączyły się w symbole, zupełnie odbiegające od kształtów i barw rzeczywistych. Rozprowadzić tego stosunku poezji do przyrody prelegent nie zdołał, dla krótkości czasu. Nie dał też obrazu rozwoju kierunków w poezji XIX stulecia, gdyż, jak powiedział, chciał w odczycie „mówiąc o rzeczach nieprzemijających, stanąć w większem od nich oddaleniu, niż pięcio, lub dziesięciolecia“. Nie uwzględnił wreszcie i najnowszej poezji polskiej. Stwierdził tylko na koniec, że poezja nasza w pełni rozwoju wkracza w bramy XIX wieku i że poezji innych narodów nie tylko dotrzymuje kroku, lecz ją przewyższa pod względem szczerości i żywiołowości.

W ten sposób wybrnął p. Kasprowicz z trudności swojego odczytu. Nie chcąc powtarzać rzeczy znanych, porozumiewał się ze swoimi słuchaczami co do tego, które wśród tych znanych rzeczy uważa za prawdziwą poezję, a czas i miejsce ich pojawienia się uwzględniał o tyle tylko, o ile mu były potrzebne do uprzytomnienia tej, czy owej cechy. Nie był to więc w ścisłem tego słowa znaczeniu odczyt, informacja dla ludzi nie orjentujących się w znanej choćby dziedzinie. Był to raczej poemat, w którym wiara p. Kasprowicza w odwieczność walki ducha z ciałem, jako pierwiastka poezji, szuka przecież w historji literatury dokumentów zwycięstw, odnoszonych przez ducha. Jako takiemu nie można mu też odmówić siły suggestywnej i szerokości w traktowaniu przedmiotu. Wśród zebranej wyjątkowo licznie publiczności, musiał on się podobać tym, którzy stoją na tem samem stanowisku, a przekonać tę ogromną większość, która czeka zawsze na to, żeby ją o czemśkolwiek przekonano.

St. W.



Z WOJACZKI.

I już trzeci rok przemija długi,
Nie widziałem, jak tam orzą pługi
Na tej roli, na moim zagonie...

Wczesnym rankiem, ledwie rozedniało,
Ociec chustę przepasali białą —
Górą jasne, młode słońce płonie,

I nad polem jeszcze tuman leży,
I pociąga rolą wietrzyk świeży,
A po bruzdach szkli się chłodna rosa.

Rozejrzeli się ociec dokoła:
Drobne ptactwo po wiklinach woła,
Cicho szepcze brzoza długowłosa,

Już skowronek zadzwonił nad miedzą —
Wiedzą ptaki i te pola wiedzą,
Że się zbożna zaczyna robota.

Potrząsnęli ociec chustą białą,
Aż się z dłoni złoto posypało —
Na tę rolę nasza siejba złota...

O przedwieśniu pług za pługiem orze,
Potem wyjdą siewcy — w imię Boże!
Niech zaszumi żyto, niech wyrośnie...

I już trzeci rok przemija długi,
Jak mię ciągnie serce na te smugi,
Jak ta rola woła mię żałośnie,

Jak te łąki wołają zielone,
By przytępić kosy wyostrzone
Na potrawach, na majowem sianie;

I w komorze kędyś sierp rdzewieje —
Oj, ty rolo! straciłem nadzieję,
Że co stało się — to i odstanie...

Oj, ty rolo! szare, nagie skały,
Cudzy ludzie — losy złe pognały
Z tym bagnetem, na żołnierkę — po co?

Ani zasiać, ni zaorać roli,
A tu z piersi serce rwie się — boli —
W tym mundurze, pod tą straszną mocą...

Marja Markowska.

5)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Ślady mieszkań palowych, odkryte przez Meyera w roku 1853, na dnie jeziora zurychskiego, wywołały poszukiwania i w innych okolicach, a gdzieniegdzie znalazły się osady tak wielkie, że blisko sto tysięcy palów odkryto na jednem miejscu, jak to jest naprzykład w Robenhausen. Pomost na palach oparty, pokrywał przestrzeń 60.000 kwadratowych m. Na jeziorze Neufschatelskiem mogło według obliczeń zmieścić się blisko 5000 ludzi.

Z początku palowe mieszkania były jedynie rusztem palowym, wbitym w dno jezior, stawów lub bagien, na którym mieściły się chaty plecione z wikliny, a oblepiane gliną, jak to znaleziona w „Terramare“ emiliańskim (Nadpadowe budowle palowe) resztka gliny z odciskiem plecionki wiklinowej wskazuje (Zeitschr. f. Ethn. tom II. str. 3. Hartmann. Über Pfahlbauten). Niektóre budowle mieszczą jako wypełnienie między palami ziemię i kamienie.

We wschodniej części Szwajcarji i górnej Austrji, z nastaniem doby metalowej w kulturze, urywa się raptem istnienie palowych mieszkań, natomiast w zachodniej Szwajcarji cały okres bronzowy, aż do żelaznej epoki przepędzają jeszcze ludzie na palach*).

W północnych Niemczech i w północno zachodniej Słowiańszyźnie mieszkanie palowe istnieją w późnej żelaznej epoce, jak to prof. Virchow, tylokrotnie pokazał i udowodnił.

Z palowemi mieszkaniami więc związany jest doniosły okres kultury, oparty na wynalazku spożytkowania wyżarzonych, lub wytopionych kruszców.

*) Ślady językowe krzemiennych niegdy młotów, istnieją u Węgrów, którzy prawdopodobnie przejęli je od Słowian w pierwszych czasach osiadłego życia, i do dziś je zatrzymali, jak zresztą moc innych wyrazów w mało zmienionych, zaschłych niejako formach. Po madziarsku krzemień zwie się „Kowa“ — kowal zaś to „Kovàcs“, kuć „kovacsol“ (Pagarasi-Wörterbuch der Ungarischen Sprache). Widocznie jeszcze za czasów najścia Węgrów do Europy, istniało u Słowian żywe językowe wspomnienie krzemiennych młotów i narzędzi.

Metalem tym w Europie, była początkowo kowana miedź, która też jako wyłączne tworzywo dotrwała gdzieniegdzie (w Ameryce, aż do jej odkrycia) do najnowszych czasów.

Istnienie jej udowodnił Palszky, jako metalu bronz poprzedzającego. Dalszy napływ cyny z fenicyjskiego wschodu, która zmięszana z miedzią czyni ją łatwo topliwą i daje razem piękny żółty i przydatny aliaż, urwał wnet okres miedziany.

Hellwald przypuszcza nawet, miarkując po zawartościach grobów przedetruskich w Italji i po tem, że w Afryce także ludy bezpośrednio z okresu krzemiennego przeszły do żelaza, że żelazo poprzedziło bronz, a jedynie niewytrzymałość na wilgoć i działanie powietrza rdzą przetrawiło żelazne zabytki starszych okresów i dlatego ciężko dziś stwierdzić niewątpliwie dawny wynalazek żelaza. — Hellwald opiera przypuszczenie swoje naprzód na wszędzie obecnej rudzie darniowej, jako narośli bagnistych okolic, łatwej do wyprażania żelaza, dalej na fakcie, że wyprażenie i odkucie żelaza znacznie jest technicznie łatwiejszem i poprzedza zawsze sztukę odlewania.

W każdym jednak razie właściwą przewagę żelaza, jako metalu, odnieść należy do ostatniej, najpóźniejszej epoki.

Uczynienie z kruszców nowych, trwałych, ostrych narzędzi pracy, przyspieszyło tembardziej tempo rozszerzalności życia i opanowania przyrody na rzecz człowieka i uczyniło z mieszkańców palowych i ziemiankowych lud pod wielu względami do nas ogólnym typem cywilizacyi zbliżony, rolniczy i pasterski.

Uczeni rozróżniają głównie dwie warstwy kultury metalowej, bronzowej i żelaznej, której formy odnajdujemy u mieszkańca palowych chat. Starszą z nich jest warstwa bronzu, zwana od miasteczka Hallsztatt, gdzie znaleziono bronie i narzędzia bronzowe najpóźniejszej, już w żelazo wchodzącej epoki, warstwą hallsztacką. W okresie hallsztackim widać jeszcze wpływ plecionki i tkaniny na zdobnictwo metalowe. Metal nie wydobył jeszcze ze siebie, za wyjątkiem spiralnie kręconych drutów, jeszcze tych właściwych

form, przystosowanych do odlewu, kucia i grawirunku.

Natomiast w nowszej warstwie, już żelaznej na poły, zwanej od wioski nad jeziorem Neufschatelskiem La Tène, **okresem lateńskim**, zjawia się samodzielna ornamentyka. Linje, listki, rozety, obrazy zwierząt, odlewem i odkuciem pięknem świadczą o nowo powstającem źródlisku form artystycznych, nie znanych ludzkości przedtem.

Zdobył je chłop palowy szwajcarski, którego życie codzienne wyjaśniły uczone badania Rütimayera i O' Heera, dokonane na podstawie resztek kuchennych, zawartych na dnie jezior. Chłopi palowi należeli do ludów rolniczych i pasterskich.

Obok najrozmaitszych zwierząt upolowanych, jak sarna, jazwiec, niedźwiedź, łoś, tur, żubr, zjawia się rodzaj oswojonej torfowej świni, miarkując po zmianach anatomicznych, chowem wywołanych, zdawna bardzo udomowionej i kilka ras zwierząt domowych, dziś już zaginionych. Koń na razie jest rzadkiem zwierzęciem, ale należy już do dzisiejszego gatunku. Z roślin wyróżnił Rüttinger trzy odmiany pszenicy, między innemi rodzaj dokładnie podobny do tej, którą w grobach królów egipskich odnaleziono (Triticum turgidum). Obok tej pszenicy, lubiącej widocznie ziemię, świeżo z wody odkrytą, znaleziono proso, gatunek jęczmienia (Hordeon hexastichon), słowem, wilgotny grunt lubiące zboża, natomiast brak zupełny był żyta i owsa. Z roztartego na żarnach prosa pieczono placki, którego resztki znalazły się na dnie śmietnika jeziornego. Suszone jabłka, czereśnie, jarzyny, maliny, orzechy laskowe i ziarna bukwy służyły na deser jako owoce. Z jarzyn znano rzepę, marchew, groch i pasternak. Len dawał przędzę na tkaniny.

Mieszkanie, jak to ze znalezionego domku koło Schiessenried w górnej Szwabji wynika, było tworzone z wiązanego w ramy drzewa (ryglówki), składało się z izby z ogniskiem kamiennem i komory. Przestrzeń między belkami wypełniano gliną. Długość mieszkania wynosiła 10 m, szerokość 7 m. Z brzegiem łączył wieś palową drewniany mostek. Naturalnie był to już znacznie rozwinięty typ mieszkania.

Sztuka chłopów palowych nosiła na sobie wybitne piętno plecionki i tkaniny, a tylko metalowe wyroby, jak ślimakowe spinki, przypominały drutową technikę, kolczyki zaś spławki wędkowe.

Niektóre przedmioty, znalezione w stacji Sipplingen, na jeziorze bodeńskiem, wskazują na to, że wieś palowa aż do czasów rzymskich była zamieszkałą. We Włoszech górnych istniały mieszkania palowe nasypowe (Terramare) między Padem a Apeninami, w okolicy Reggio Emilia; w Irlandji zaś wyspy sztuczne drewniane, zwane Cranoges, które również historycznych czasów sięgają.

Odkładając omówienie nawodnych mieszkań, sięgających istnieniem swojem dziejowych, ściśle określonych czasów, do osobnego, „palowcom“ poświęconego rozdziału, dotkniemy tu jedynie palowych budowli, znajdujących się po za granicami Europy. Podróżni znaleźli je u Papuasów w Nowej Gwineji, u Dajaków (na suchej ziemi), w Borneo i u murzynów na jeziorze Tsad.

Szczególniej ciekawe dane dotyczą mieszkańców północnego Celebesu, Toun Singals, o których p. Riedel (Zeitschrift für Ethnologie, r. 1872, str. 193) tymi słowy pisze: „Z wiadomości moich o ich przeszłości wynika niewątpliwie, że Toundanosy czyli Toun Singalsy z początku nie byli mieszkańcami budowli palowych, lecz dopiero z braku ziemi zmuszeni zostali przez kilkaset lat domy swoje budować na jeziorze w Minahasa“.

Domy te, podobne na wskróś do europejskich z tego samego pokroju, świadczą jeszcze raz aż nazbyt wyraźnie, że od zewnętrznych warunków fizycznych zawisłą jest materjalna strona życia człowieka i że podobne objawy życia mogą samorodnie powstawać tam, gdzie istnieją podobne stosunki przyrodnicze.

Palowcy są nam może najbliżsi rodzimą, z osiadłego życia płynącą kulturą, w przeciwstawieniu do stepowców-Arjów wędrownych. Zostawili oni w pojęciach, wyrazach, wreszcie w konstrukcji budowniczej i inżynierskiej, tudzież w sztuce tyle nabytych drogocennych doświadczeń, że przybyły na miejsce przez nich zajęte stepowiec-Arja radyby sobie bez nich dać nie mógł. Nie dziw też, że tradycja palowej kultury z czcią jest przechowywana w całem słownictwie ludów aryjskich, które niegdyś pierwszą stopę w Europie postawiły, u Greków, Rzymian, u Germanów i u Słowian.

Już z powyższych zestawień wynika, że ludy „palowe“ rasowo nie mogły być jednolite w czasie między okresem kamienia gładzonego, przez okres miedzi, bronzu, żelaza, aż do najnowszych czasów. Przed pierwszem najściem krótkogłowców, a potem Aryjczyków z Azji, zamieszkiwali Europę południową i zachodnią długogłowcy. Do nich należałoby zaliczyć niektóre typy Walji i Irlandji, o których przedstawicielach czytamy: „Chód lekki, włos gruby i ciemny, twarz długa, a nawet bardzo długa, często nader wąska, najszersza poniżej oczu. Podbródek bardzo wąski, czasami wystający i najczęściej w tył podany. Nos wąski, niekiedy znacznie długi, czasami zbliżony do żydowskiego. Czoło wąskie, lecz nie pochyłe. Skóra ciemna, lub mocno czerwonawo-brunatna. Czaszka dłuha i bardzo wąska“. (Mackintosh cyt. u Krzywickiego „Ludy“, str. 248.)

Również Hiszpanja, Sardynja, Korsyka, Sycylia i południowe Włochy były w zaraniu dziejowem „Iberyjskiemi“, jak nazywają antropologowie ludność przedaryjską.

Język Basków, zdaje się, ostatniego szczątka ludów przedaryjskich, któremu w niedostępnych Pirenejach udało się odrębność swoją zatrzymać, również składnią i dźwiękiem, obcym zupełnie pniowi języków indo-aryjskich, świadczyłby o dawno minionych dziejach Europy.

Plemiona Indogermańskie, na poły długogłowe, które zjawiły się w Europie, po długich zapewne wiekach wędrówki przyniosły ze sobą tradycje i zwyczaje stepowych ludów, jakie opisywaliśmy na wstępie, mówiąc o Kirgizach w poprzedniem rozdziele.

„Uległa, zdaje się, naprzód arjanizacji Grecja, zalana przez Pelasgów, Illirów, potem przez Traków, którzy zepchnęli poprzedników w doliny górskie półwyspu bałkańskiego (dzisiejsi Albańczycy) i sami zajęli porzecza urodzajne, oraz Tessalję i Beocję, a w dalszym ciągu wtargnęli do Azji Mniejszej, dając początek mnóstwu grup drobnych (mykyjskich, frygijskich i likijskich). W Armenji spotykamy inny potok aryjski, idący od Eranu. Wreszcie jeszcze później przybyli Helenowie. W Italji Aryjczycy ukazali się daleko później, a paleontologia dowodzi, że przybyli tutaj z północy z trzodami wołów, kóz, owiec, świń, że posiadali c i ę ż k i w ó z*), który ciągnęły woły, że byli odziani w skóry i proste tkaniny i że jedynie wódz miał topór bronzowy. Sycylja zaś, Sardynja i Hiszpanja jeszcze za czasów historycznych były Iberyjskimi“ (cyt. u Krzywickiego „Ludy“; zobacz też: Dr. Lubor Niederle „Lidstvo v době předhistorické“).

O Słowianach Dr. Niederle mówi zaś, co następuje. Słowianie, językowo związani z grupą łotewsko-litewską, zapewne razem z nią oderwali się od pnia indogermańskiego. O tem zaś, czy Słowianie byli naprawdę Arjami, czy też zarjanizowanymi przybyszami, badania językowe nic nie powiadają. Ze stanowiska antropologicznego tyczy się Słowian zupełnie to samo, co odnosi się do innych narodów.

Liczba krótkogłowców wśród Słowian ku południowi i zachodowi przybywa, ubywa w kierunku wschodu i północy. Badania zaś czaszek z grobów między 8 a 16 stuleciem poucza, że Słowianie dawniej więcej liczyli długogłowców wśród siebie, którzy zupełnie podobni byli do typów germańskich z grobów rzędowych.

Zdaje się więc, że długogłowcy aryjsko-słowiańscy zmieszali się z krótkogłowymi pramieszkańcami środkowej Europy, (których wzdłuż Alp przez Bałkany aż do Azji śledzić można), zupełnie jak to się działo u Celtów i Germanów. Im bliżej sfery alpejskich krótkogłowców, tem krótszą jest czaszka i ciemniejszem uwłosienie i płeć, im dalej na północ tem więcej długogłowców i blondynów.

Różnice te, wytworzyły się zapewne po oddzieleniu się gałęzi litewsko-łotewskiej od słowiańskiej, co działo się zapewne ku końcowi okresu neolitycznego, a n a j p e w n i e j w początkach k u l t u r y m i e d z i a n e j, kiedy te plemiona te poza górny Dniepr w okolicach Prypeci i Berezyny nie wyszły. Było to zapewne na kilkaset

*) Wóz na kołach to jeden z najstarszych sprzętów, tak, że zdążył wejść obok konia do słonecznej mitologji Indów. Wóz był u nich przedstawicielem słońca w pewnych razach (Zeitschr. f. Ethnologie. Mannhardt die lettischen Sonnenmythen). Koło palone z gliny z epoki bronzowej znaleziono w Szwajcarji. (Zeitschr. f. Ethnologie tom 15.) Rówież Italja dała szereg wozów o ciekawej konstrukcji z przedhistorycznych czasów. Urnę przedstawiającą wóz z kołami o 4 sprychach, dwukonnie zaprzęgany, w y d o b y t o w D a r s l o b e w P r u s a c h w s c h o d n i c h. Również ornament koła o 4 sprychach widoczny na licznych urnach słowiańskich, zestawiony ze „swastyką“ zdaje się łączyć z przedstawieniami o słońcu i o wozie.

lat przed Chrystusem. (Niederle. O puwodu Slowan, Studie k slowańskim starožitnostom).

Na pniu kultury palowych mieszkańców, zaszczepili swoją płonkę „namiotowcy“, zmieszały się rodzime, długo nabywane obyczaje z napływowemi, a z nich wyszła nowa forma życia kulturalnego, odźwierciedlona w mieszkaniach i życiu gospodarskiem, którą rozważyć i w sylwetę dziejową ująć będziemy próbowali.

Przedmiotem zaś klinicznym naszych badań, będzie jedna gałązka pnia Indo-germańskiego, lud polski. Dzieje przekształcania się wewnętrznego naszego narodu tysiącznymi węzłami związane są z resztą ludów Europy, i dlatego rozbierając historję niepozornego mieszkania włościańskiego w Polsce, w pewnej mierze rozpatrzymy wnętrzności Europy w historycznych czasach w jej poufnem domowem życiu.

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Niby to pan nie rozumie. Alboż nie wasze fantazje wszystkiemu winne. Co to się porywać z motyką na słońce. Gdyby nie wasze powstanie, rzeczy pozostałyby po dawnemu i nie przyszedłby na mnie taki ciężki termin. A tak co? Oj, nawarzyli wy gorzkiego piwa i nie sami go pijecie. Wam jak wam, panowie zawsze sobie dadzą radę, my biedacy musimy słuchać i basta. Ot, co jest, dlategom ja podły zaprzaniec, pop prawosławny, a ludzie, spotkawszy mnie, spluwają, jak gdyby złe ujrzeli.

Berwicz wzburzony, chciał przerwać, ale Jedniewicz nie dał mu przyjść do słowa.

— No cóż — mawiał dalej — przecież i taki przydać się może. A jak prystaw i sledowaciel zapyta, czy pan nie widział w lasach złoczyńców i każe ich szukać, pomyśl pan o mnie. Ot, co chciałem powiedzieć. Żebyś pan nie zapewniał, że to szpiegowskie wymysły, że takich nigdy nie było. Musieli być, skoro widziałem ich na własne oczy. Rozumiesz pan, na własne oczy. Oni to, na miejsce starego, nowy krzyż wkopali. Powiedz to pan Maksymowi i... innym.

Staremu słowa na ustach zamarły. Widocznie pop podpatrzył nocną robotę, był panem tajemnicy. Na razie nie zrobił z niej użytku, odwrócił nawet niebezpieczeństwo, ale kto mógł na przyszłość zaręczyć, chociażby nie zła wola, trunek mógł rozwiązać mu usta. Pani Teresa stanęła mu w pamięci. I pomyśleć, że ona na łasce tego człowieka...

— Panie Jedniewicz — wyrzekł wreszcie panując nad sobą — nie mam potrzeby powtarzać tego nikomu, a jeśli pan niewinnych ludzi zasłonił od prześladowania, Pan Bóg ci to z pewnością nagrodzi.

— Hm! — mruknął Jedniewicz — pan Bóg? Pan Bóg wysoko... bardzo wysoko... a niewinni ludzie... hm!

Berwicz zrozumiał.

— Ludzie niewinni potrafią się też wywdzięczyć. Za to, żeś mi pan oszczędził kłopotu — dodał pospiesznie, bo niechciał, żeby słowa jego wziąść można za przyznanie spełnionego czynu.

Na tem polu porozumienie było łatwe. Jedniewicz nie stawiał wygórowanych żądań, Berwicz się nie targował. Umówili się o spotkanie nazajutrz w tem samem miejscu, stary wsiadł na konia i zamyślony pojechał do dworu. Niby wszystko szło gładko, ale pomimo to nie był spokojny.

Berwicz zarządzał całym majątkiem pani Teresy i nikt go kontrolować nie myślał, on przecież miał sobie za święty obowiązek, zdawać

sprawę z każdego wydanego grosza. Buchalterji nie uczył się nigdy, jednakże zapisywał dochody i rozchody z niezmierną skrupulatnością. Nie potrzebował się troszczyć o to, pod jaką rubrykę podciągnie sumę, jaką miał wypłacić Jedniewiczowi, gdyż łapówki stanowiły wydatek częsty i znaczny.

Pani Teresa czyniła mu największą przyjemność, gdy przeglądała rachunki, z których szczycił się, jako z rzeczy, dla siebie strasznie trudnej.

— Bożeż mój — mawiał — czegożbym dla Teresi nie zrobił. Ot, własną ręką, co rok zapisuję taką grubą księgę. Ot, proszę tylko spojrzeć.

I otwierał z dumą przed panią Morską karty, zapisane wielkiem, stanowczem pismem, żądał, ażeby wchodziła w każdy szczegół gospodarczy, i ona czyniła to chętnie. Znała interesa i miała o nich sąd trafny, chciała też, by córki obznajamiały się z niemi. Jeszcze za życia jej matki, Berwicz gospodarował w Malińcach. Tak samo było, w czasie jej krótkich dni szczęścia i pozostało, gdy ona z kolei byłą głową domu.

Jeśli majątek znajdował się w kwitnącym stanie, była w tem zasługa Berwicza, ale Berwicz przypisywał ją pani Teresie, a ona jemu, i o to sprzeczali się często...

— To Berwicz zrobił — mówiła, ile razy chwalono gospodarstwo w Malińcach.

— Jakże nie miałem zrobić, kiedy pani kazała — odpowiadał.

— Śliczne zboże ma pan Berwicz — powtarzała pani Teresa, pysząc się urodzajami.

— Ot, jaki agronom z mojej dziedziczki — mawiał znów stary szlachcic.

— Co tam ja, znam się na roli, jak kura na pieprzu.

— Wolne żarty — odpowiadał Berwicz — A czy to nie pani przywiozła z Warszawy siewniki, brony, pługi nowego systemu i czy ja wiem, co jeszcze..,

Sprzeczali się żartem o zasługę, sprzeczali więcej na serjo, gdy szło o wydatki, i tutaj zachodził między nimi rozdźwięk pozorny.

Pani Teresa dla samej siebie była bardzo oszczędną. Berwicz nawet pod tym względem zarzucał jej skąpstwo, ale gdy szło, by komu dopomódz, nie liczyła się z groszem, a znowu on zżymał się na to.

I teraz, gdy wszedł do gabinetu pani Teresy, ażeby zdać sprawę z rozmowy z Jedniewiczem i jej rezultatów, zastał ją trzymającą list w ręku. Znał takie listy przesyłane przez umyślnych posłańców z wiosek okolicznych. Sam zresztą spotkał posłańca na dziedzińcu folwarcznym, dowiedział się zkąd i domyślił się o co chodziło.

— Cóż to, Butkowski znowu pisze? — zapytał od razu, zapominając o sprawie, która go tu przywiodła.

— A tak — odparła pani Teresa, nie odrywając oczu od listu — prosi, by mu dopomódz, płaci ratę bankową.

— Płaci! ślicznie płaci. Bożeż mój! Już dwa lata Teresia za niego płaci. To chyba dość.

— Widzisz, że nie dość, kiedy znowu prosi.

— Prosi, prosi i jak jemu nie wstyd! Cóż, czy to my w arendę wzięli jego długi. Niech mu Teresia odpisze, że nie ma pieniędzy, żeby się udał do innych. Czy to jedne Malińce na świecie? A my zkąd weźmiemy, jak zabraknie? Czy Butkowski kiedy odda?

— Wiesz dobrze Berwisiu, że on uczciwy, odda, skoro będzie mógł.

— Tak, tak, skoro będzie mógł, tymczasem pisuj na Berdyczów. A Teresia?? Teresia sobie wszystkiego żałuje. Ot, miała jechać w góry, do Szwajcarji, czy Zakopanego.

— Zdrowa jestem. Nigdzie na świecie nie jest mi tak dobrze, jak w Malińcach. Po cóż wyjeżdżać.

— Po co! Ot, żeby coś nowego zobaczyć, rozerwać się. Czy ja wiem, zresztą po co wszyscy jeżdżą, wy tylko siedzicie, jak zaklęte.

— Chciałam dzieciom pokazać Kraków i nasze góry.

— To czemuż nie mówiłaś! Byłbym podał o paszport.

— O tak, zaraz jechać, — uśmiechnęła się kobieta. — Nic pilnego Berwisiu. Kraków nie ucieknie. Pojedziemy kiedy indziej. I tak, nim Ignaś wróci, pora przeminie. Ale... ale... Ignaś także prosił, by mu posłać paręset rubli.

— Otóż to, bawi się, bawi. No trudno, jemu wolno.

Pani Teresa zwróciła na niego zamyślone oczy, jakby niezbyt pewna prawowitości żądania syna, ale nie powiedziała nic o tym przedmiocie, tylko na czole osiadła jej troska.

— Ileż mu posłać? — pytał dalej Berwicz.

— Dwieście rubli powinno mu wystarczyć. On strasznie dużo wydaje. Posłaliśmy już pieniądze po egzaminach.

Stary zapisał coś w notatniku tak zniszczonym, że się rozchodził na strzępy.

— A Butkowskiemu to już ja odpiszę, bo wiem, że Teresi trudno odmówić.

— Ale jemu nie można odmówić, — zawołała z żywością.

— No, a zkąd brać, zkąd brać! Bój się Boga, Teresiu...

— Zapominasz Berwisiu, że tak samo, jak ty, znam nasze interesy. Dzięki Bogu, możemy jeszcze biednym ludziom dopomódz.

— Możemy, możemy! Nie tak bardzo. Niech biedni ludzie także o sobie pomyślą. Na wszystkich nam nie wystarczy, żebyśmy mieli sto razy więcej. Czy to jeden Butkowski? Dałaś przecie Solskiej na jary zasiew, Gudzińskiemu na wpisy dla synów, Gryszkiewiczowi nie wiem już na co...

Litanja zapewne mogła być długa, — chciał ciągnąć ją dalej, ale pani Teresa przerwała pośpiesznie.

— Wstydź się Berwisiu.

— Otóż się nie wstydzę, bo co nadto...

— Wstydź się — przerwała znowu. — Mógłby kto pomyśleć, słysząc cię, że nie odczuwasz tego, co ja. Wiesz przecie, że jeżeli mamy dostatek, to na to, by innych ratować. To prosty obowiązek.

— Piękny mi obowiązek...

Pani Teresa nie dała mu dokończyć.

— Czybyś zniósł, gdyby wieś Budkowskiego szła pod młotek, Moskale z domu wypędzili sąsiada, gdybyś mógł temu przeszkodzić. Trzeba przecież choćby ostatnim groszem podzielić się z braćmi, kiedy są w takiej potrzebie. To nie żadna zasługa, tylko obrona własna. Dlatego pracujemy oboje, dlatego raduje nas dostatek, dlatego żałujemy sobie na każdy zbytek. Wszakże to puścizna Brzeszcza, więc prędzejbym Ignasiowi nie posłała, a Butkowski dostać musi. Tam bardzo ciężko, mieli pomór na bydło, zboże grad przetrzepał, i to tak ciężko prosić.

Mówiła z zapałem, aż rumieńce wyszły jej na twarz.

Berwicz milczał przez chwilę, potem pochylił się nad jej ręką i szepnął.

— Teresia zawsze ma słuszność, ja wiem, że Teresia jest anioł...

— Co tam za anioł — rozśmiała się kobieta.

— Ileż ten Butkowski prosi!

— Niewiele, trzysta rubli, drugie trzysta sam zapłaci. A napisz mu zaraz, że są dla niego pieniądze, żeby się próżno nie martwił.

Sprzeczki Berwicza z panią Teresą, kończyły się zawsze w ten sposób. Targował się z nią zajadle o każdy grosz dany bliźniemu, może dla tego, iż wiedział z góry, że to daremnie. Za to rozkazy jej spełniał z rozkoszą i śpieszył się z ich wykonaniem. Ale swoją drogą, przy każdej sposobności sprzeczka powtarzała się w taki sam sposób i doprowadzała do tego samego rezultatu.

IV.

W połowie września radość panowała w Malińcach; oczekiwano Ignasia.

Berwicz robił raz jeszcze przegląd gospodarstwa, imponował mu tytuł agronoma, zdawało mu się, że ten co go posiada, zwróci od razu baczne oko na rzecz każdą, oceni każdy szczegół i cieszył się z góry, bo miał się czem pochwalić.

Siostry przystroiły kwiatami dom cały. Matka z drobiazgową troskliwością opatrzyła pokój syna, ażeby nie brakło w nim nic z tego, co mogło mu być potrzebne do wygody lub przyjemności i czekała go zatopiona w marzeniach, rozpromieniona samą nadzieją ujrzenia ukochanego dziecka.

Ten pierworodny, jedyny syn, zajmował osobne miejsce w jej sercu. Ojca pamiętała zaledwie, męża straciła od dawna, bo Jadzia przyszła na świat gdy on był uwięziony. Ignaś nosił ojcowskie imię, z rysów był do niego podobny a w wyobraźni matki powinien był być tak fizycznie, jak i moralnie jego sobowtórem. Nigdy nie przypuściła, by inaczej być mogło. Nie wątpiła ani na chwilę, że on zastąpi miejsce ojca jako głowa domu, opiekun sióstr, jej własna podpora, spadkobierca Brzeszcza.

Tak jak niegdyś w mężu, widziała w nim swoje szczęście, swoją chwałę i stokroć więcej jeszcze chwałę kraju. Niepokoiła się zawczasu niebezpieczeństwem jakie mu groziło, drżała, by tak, jak ojciec i dziad, nie stał się ofiarą wrogów i modliła się gorąco do Matki bolesnej, ażeby jeśli taki los go czeka, ona przynajmniej nie patrzała na to, by śmierć oszczędziła jej tej najsroższej męczarni.

Zawsze patrzała na syna zaślepionemi oczyma, a w ostatnich czasach widywała go rzadko.

W Rydze spotkał dalszych krewnych, porobił znajomości, zawarł przyjaźnie z ludźmi, których ona nie znała. Nawet w czasie świąt i wakacji, był gościem w domu.

Pani Teresa byłaby wolała nacieszyć się synem, ale nie była samolubną, nie stawiała przeszkód wycieczkom i odwiedzinom. Rozumiała dobrze złe strony odosobnionego życia, jakie prowadziła, a wiedziała i to także, iż kto chce działać, może się dać poznać szerszym kołom.

Ignaś miał znów połączyć Malińce ze światem, wlać w dom okryty długą żałobą nowe życie, dać siostrom sposobność poznania ludzi. Wyrobiła się ztąd pewna tymczasowość obecnych stosunków. Wszystko miało się zmienić, gdy Ignaś powróci. Ta chwila stanowić miała epokę w jej życiu, kres trosk a przynajmniej wszystkich trosk materyalnych, które odtąd powinny były spaść na barki syna.

Córka Brzeszcza, żona skazańca otaczała czcią ich pamięć, widziała ich jedynie w aureoli męczeńskiej. W jej własnej wyobraźni mąż i ojciec ulegli prztetworzeniu. Zapomniała, jakiemi byli w zwykłych chwilach życia, pamiętała ich zawsze w godzinę ofiary, wolnych od powszednich małostek, poświęconych cierpieniom. Widziała w nich nie ludzi, ale bohaterów, i myślała, że syn jej musiał być takim, jak oni.

Od najmłodszych lat codzień prowadziła dzieci do rodzaju kaplicy, gdzie wisiały portrety Brzeszcza i Morskiego, opowiadała im ich dzieje, tłumaczyła obowiązki, jakie po nich dziedziczyli.

A teraz miał w Malińcach zamieszkać ich potomek.

Nie był to zwykły powrót syna do domu rodzicielskiego, po ukończeniu nauk. Oczekiwano dziedzica puścizny Brzeszcza.

Przed wieczorem w dzień oznaczony, zaturkotało przed dworem. Odezwały się radosne okrzyki dziewcząt:

— Ignaś! Ignaś!

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Poezje.* Jerzy Żuławski. Wydanie nowe i poprawne. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1901. Str. 273.

Większą część dużego tomu wypełniają młodzieńcze wiersze poety, wydane już oddzielnie przed paru laty w dwóch zbiorkach („Na strunach duszy“, „Intermezzo“). Dźwięczy w nich gdzieniegdzie jeszcze nuta romantyzmu, jaka z przebrzmiałych pieśni w uchu pozostaje, ale częściej odzywa się zgrzyt własnych słów twórcy, podobnych hartownym młotom, kującym żelazo. Widać mozół i zaciętość w rzeźbieniu ram ołtarzom, w których poeta zamknął Myśl, swojego boga, ale też widać z pracy owej, że sobie podoła wykuć gmach z ciosowych głazów. Widać to, zwłaszcza z drugiej części („Cień“ i „Ksenofanes“), która była już znacznie później napisana. Znajdują się tam zwrotki pełne mocy ducha i prawdziwej już, szczerej poezji. Silne wrażenie czynią rozdziały, wyjęte „Z księgi Kohelet“. *W. O.*

*

Ustawy komisji edukacji Narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w kraju Rzeczypospolitej, przepisane w Warszawie 1783, zostały obecnie wydane przez księgarnię Borkowskiego w Warszawie. Jestto bezsprzecznie ciekawy i zaszczytny dokument historyczny, gdyż się odnosi do działalności komisji edukacyjnej, niemal pierwszego ministerjum oświaty w Europie, instytucji, która w znacznej mierze przyczyniła się do odrodzenia kraju. Innym byłby nasz cywilizacyjny poziom, inne stanowisko zajmowalibyśmy w cywilizacji europejskiej, gdyby nie podziały i polityczne ujarzmienia kraju.

Ustawy komisji edukacyjnej stwarzają u nas organiczną łączność między akademją Krakowską a Wileńską, a szkołami niższego typu, organizują korporację nauczycielską, wytwarzają się szkolnictwa przesiąknięte duchem obywatelskim, realizmem w nauczaniu, oraz zmysłem praktycznym. Czytając instrukcje komisji, widać jasno, że autorom ich chodziło o wychowanie pokolenia, zdolnego do podniesienia dobrobytu i obrony Rzeczypospolitej.

Duch przyszłych szkół komisji edukacyjnej, zaznacza poseł Małachowski, pisarz w. koronny: „Niechay Nauczyciele najdotkliwszym w myślach y pojęciu Uczniow piętnuią wyobrażeniem: Państwo Rzeczypospolitey, w którey się rodzą, i ćwiczą, za iedną i rodzoną ich Matkę, wszystkich równie kochaiącą, o wszystkich pomyślność równie troskliwą nad wszystkich w powszechności, y nad każdego w szczegulności przeciwnością równie cierpiącą.

Niechay Nauczyciele tę niewzruszoną wbiiaią prawdę: Że wszyscy w kraiu Obywatele iesteśmy iednego ciała cząstki, iedney głowy członki, iedney Matki Synowie a zatem rodzeni Bracia (5 str.).“

W instrukcjach dotyczących nauczania czytamy: „Ogólnie w każdey nauce Professorowie starać się i dozierać powinni, aby ich uczniowie więcey na rozum

i poięcie, niżeli na pamięć uczyli się. (Rozdział XV. str. 6-to).

„Względem kompozycyi i ćwiczeń w pisaniu ogólne prawidło będzie, aby materye onychże rozsądnie, do wieku, do okoliczności, do obyczaiów dobrane: a wszystkie czcze, oschłe, oboiętne, zbyt zatrudniaiące, nadto dla uczniów wysokie wywołane były. Pomiarkowawszy zdatność uczniów do tego, lub owego rodzaiu pisania, w tym się im bardziej nauczyciele ćwiczyć pozwolą. A zatym często, nie zaznaczając żadnego ćwiczenia, zostawi nauczyciel woli uczniów, aby sobie materyę i sposób pisania dobierali“.

Nauczyciel matematyki „dla ćwiczenia w praktyce geometryi, wyprowadzać będzie uczniów na pola i inne mieysca, dla wykonania rozmiarów. Ukaże im na zmysły używanie narzędzi matematycznych i podawać będzie naukę rysowania mierniczego“.

W instrukcyach dla nauczyciela prawa, przedmiotu wykładowego w szkołach średnich czytamy: „W nauce prawa z naywiększą roztropnością postępować należy, aby wszystkie iego początki na prawie przyrodzonym i nayściśleyszey sprawiedliwości zasadzaiąc, przygotowywać umysły młodzi do postrzegania w szczególnych ustawach każdego kraju ich niedostatków i upatrywania sposobów udoskonalenia prawodawstwa“.

Z tego paragrafu instrukcji wyziera wolny duch obywateli Rzeczypospolitej i ich dążność reformatorska. Przypomina to nam prawem kontrastu, że gdy w samowładnej Rosji Mikołaja I. jeden z rosyjskich prawników chciał wydać Podręcznik do poznania prawodawstwa, zarząd cenzury na to mu odpowiedział, że o prawach dość jest wiedzieć tylko to, co jest zawarte w samych ustawach. Instrukcja komisji edukacyjnej polskiej, dla nauki prawa w szkołach średnich i owa decyzja cenzury rosyjskiej, pod zarządem ministerjum oświaty odźwierciedla stosunek do prawodawstwa w Rzeczypospolitej i w monarchji absolutnej.

Instrukcje komisji edukacyjnej zawierają tyle ciekawych szczegółów, że ich niepodobna wyczerpać w kronikarskiej wzmiance. Podkreślają one wagę fizycznego wychowania młodzieży, fizycznych ćwiczeń i t. p.

Zajmujące są też dane, dotyczące szkół ludowych, za parafjalnemi.

„1. Szkółki po miasteczkach i wsiach, bądź bliskie kościołów parafialnych, bądź dalekie od nich, pod imieniem szkół parafialnych zawieraią się. Jedne z nich, zwłaszcza w miasteczkach, mogą być większe, to iest więcey nauk zamykaiące, inne, w których mniey nauk będzie, mnieyszemi nazwane.

„2. Oświecenie ludu około religii, około powinności stanu iego, około robót i przemysłu w tymże stanie, celem iest takowych szkółek...

„4. Nim książki elementarne wyidą w większych szkołach, dawana będzie nauka chrześciańska, nauka obyczaiów, stosowna do wieku i kondycyi uczniów, czytanie, pisanie, rachunki ,początki rozmiaru z wiadomością wag i monet; nauka ogrodnicza i rolnicza więcey przez okazywanie samychże robót, niż przez mówienie i przepisy na pamięć, wiadomości zachowania zdrowia, leczenia bydląt, handlu wewnętrznego w tey okolicy i sąsiedztwie, użycia tych rzeczy, które się częstokroć po wsiach i miasteczkach zaniedbuią, a użytecznemi być mogą, iako to n. p. różnych roślin przydatnych do farb, sierci bydląt, kor różnych drzew, starych chust, popiołów etc.“

Niewyczerpawszy zajmujących danych wszystkich ustaw komisji edukacyjnej, odsyłamy czytelnika do samego wydawnictwa. Przedstawia się ono pokaźnie, okładka jego jest przyozdobioną mapą Rzeczypospolitej z 1686 r.

Wł. Studnicki.

*

Bibljografja Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zestawił Dr. Wiktor Hahn. Lwów. Wobec nadzwyczajnej ilości dzieł i wydawnictw, które w roku 1900 bądź to wydane zostały z okazji jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego, bądź też jemu wprost poświęcone, i że dalej nie ma wydawnictwa polskiego, któreby jakimś najdrobniejszym choćby artykułem nie uczciło tej pamiętnej daty naszego narodowego życia umysłowego, więc powstał dorobek tego roku tak obfity, że zorjentować w nim się niełatwo.

Pracy tej podjął się znany badacz przeszłości naszej literatury, Dr. Wiktor Hahn i wydał bibljografję dzieł i prac, odnoszących się do jubileuszu. Bibljografja dzieli się na trzy działy: I. zawiera wydawnictwa Akademji Umiejętności, II. dzieła poświęcone Uniwersytetowi, podzielone wedle poszczególnych, objętych przez nie gałęzi wiedzy, a III. najważniejsze opisy obchodu jubileuszowego. Autor nie pominął nawet czasopism i dzienników, a na końcu, dla łatwiejszej orjentacji, zamieścił spis alfabetyczny nazwisk autorów, przytoczonych w książce.

PISMA. *Prawda* warszawska, to pismo powstałe z jednej i dla jednej, chcącej się wypowiadać myśli jednego człowieka, należy do tych niewielu tygodników, w których program myślowy wyciska na wszystkiem piętno bardzo indywidualne. Nic łatwiejszego, jak nie godzić się z p. Świętochowskim i jego „Prawdą“, ale samoistności w pracy nad tem, co uważa za pożyteczne, absolutnie odmówić mu nie można, zarówno jak głębokości poglądów i usiłowania objęcia wszystkich dziedzin życia.

W jednym z ostatnich zeszytów tego pisma poruszoną jest aktualna kwestja: „Czy potrzebną jest fabryka krajowa?“ Jest to odpowiedź na ankietę, rozpisaną przez „Rolnika“ i „Hodowcę“. Autor artykułu prawdy, p. Zen. Piet., wyszydza trochę kwestjonarjusz, twierdząc, iż pytanie takie samo w sobie zawiera już tak dalece odpowiedź potakującą, że jest zbytecznem nawet pytać. Uzasadnia następnie potrzebę fabryki maszyn rolniczych u nas i przytacza szereg bardzo pouczających przykładów na poparcie swojego twierdzenia, a zarazem zwalcza zachowawczość zawodową naszych rolników, których postęp mógłby w uprawie roli, po za ich własnym pożytkiem, mieć znaczenie środka pedagogicznego odnośnie do ludu rolnego.

W innym z nowszych numerów tego pisma roztrząsa ten sam autor sprawę organizacji celem poznawania kraju i przedstawia próbę takiej organizacji, która, oparta na silnych materjalnych podstawach, mogłaby dążyć metodycznie do celu. O żywem zaś zajmowaniu się sprawami, będącymi na porządku dziennym, świadczy obszerny artykuł, informujący czytelników „Prawdy“ o nowym ruchu artystycznym, zmierzającym do wysnucia wątku artystycznego z własnej rodzimej cywilizacji i o udziale inż. Mokłowskiego w tem dążeniu, który, jak wiedzą czytelnicy „Tygodnia“, zabrał się do tego na szeroką skalę.

*

Przegląd Zakopiański. Walną część ostatniego numeru tego najpoważniejszego z czasopism lokalnych, zajmuje polemika o wystawę sztuki stosowanej w Krakowie i zakopiańszczyznę. Poszło o to, że p. Mieczysław Limanowski zaatakował tę wystawę, zarzucając jej chaotyczność i pognębienie zakopiańszczyzny. Obecnie odpowiada mu w obronie wystawy p. Jerzy Warchałowski i zbija pierwszy zarzut tem, że wyższe, artystyczne względy, kierujące twórcami wystawy, nie dopuściły do podziału jej wprost na dzielnice, a drugi odpiera wprost, przytaczając na to całe szeregi argumentów. Na to znowu odpowiada p. Limanowski, popierając pierwotne swoje twierdzenia szeregiem nowych argumentów. Polemika ta jest bardzo pouczającą, gdyż na żywym przykładzie może się tu czytelnik pouczyć o samej rzeczy i o jakie wogóle względy chodzić może w takich wypadkach. Następnie ma ta polemika znaczenie, jako dowód, iż wogóle tego rodzaju kwestje stały się aktualnymi. *S. W.*

SZTUKA. *Antoni Kamieński*, znany z „Tygodnika ilustr.“ ilustrator i rysownik, a jeden z najoryginalniejszych z pomiędzy pokolenia artystów naszych, w latach sześćdziesiątych urodzonego, ma poświęcony swej twórczości ostatni numer tego pisma, którego redakcja od czasu do czasu przypomina sobie, że jest ono nietylko bardzo rentownem przedsiębiorstwem, ale i organem, sztuce poświęconym. Kamieński — to zwłaszcza świetny technik (weźmy n. p. choćby tych kilka, we wspomnianym numerze zamieszczonych, szkiców paryskich i studjów portretowych), ale, jak sam zresztą otwarcie wyznaje, jest przedewszystkiem literatem, poetą, który, zamiast słowa, posługuje się linją. Ten charakter literacki też we wszystkich jego większych utworach wyraźnie na plan pierwszy występuje — rzadko jednak ze szkodą całości dzieła. Kamieński długo był głównie ilustratorem, interpretatorem, zawsze jednak nawskróś samodzielnym, oraz portrecistą (świetne portrety Podkowińskiego i Kurzawy, oraz pełen wyrazu autoportret, na czele omawianego numeru pomieszczony, lub portret O. Boznańskiej, ktora znów w tym samym numerze daje portret Kamieńskiego). Wróciwszy jednak do kraju z Paryża, gdzie czas jakiś ilustrował znany tygodnik *Illustration* i gdzie zupełnie bez powodzenia studjował rzeźbę, zaczyna komponować większe samodzielne rzeczy, jak znany obraz: „Na wyżynach“ (grupa młodych artystów gdzieś na poddaszu, w nędznej pracowni, w niedbałych pozach zgrupowana dokoła kolegi czytającego im coś, nad czem wszyscy właśnie w bolesną jakąś popadli zadumę), albo „W mordze“ (tłum ciekawie i bezmyślnie przyglądający się dwom wystawionym trupom, a w pośrodku ta pełna wyrazu, przerażona twarz kobieca, odtworzona obok w osobnem studjum), lub „Wyspa St. Louis“ (rozpaczna karta z życia paryskich nędzarzy), nie mówiąc już o licznych dalszych portretach i studjach (n. p. wyborne studjum kobiece p. t.: „Zadumana“). „Ze wszystkich tych utworów — pisze w „Tygodniku“ p. Matuszewski — bije jakiś gorzki, ponury smutek, jakiś beznadziejny pesymizm, wszędzie ból, rozpacz, walka z twardą, zwycięską koniecznością“. Ten sam podkład mają i wielkie jego kompozycje a l e g o r y c z n e (ktoś twierdził niedawno, że Kamiński jest symbolistą!?!), jak paryskie jeszcze „Niedokończone dzieło“ (chory rzeźbiarz w pracowni swej, na nędznym barłogu siedząc, przygląda się swemu umiłowanemu dziełu, którego dokończyć nie pozwoli mu zapewne wychylająca się z mroków zbrojna w kosę olbrzymią postać — nadchodząca śmierć), albo rozpoczęty niedawno cykl p. t.: „Pieśń o życiu“, z którego „Tygodnik“ właśnie drugi i trzeci karton reprodukuje. Jest to najpierw „Rok trzydziesty życia“ (cmentarzysko alegoryczne pomarłych wierzeń i ideałów młodości — u stóp sarkofagu para kochanków niegdyś, dziś małżonków: ona karmi dziecko, on liczy pieniądze, których pilnuje zajadły buldog), a dalej „Pieśń o miłości“ (Amor przykuty do ołtarza obowiązku, obok strażnik z maczugą, poniżej stado gęsi i kur, indyków i nierogacizny, w głębi oracz, wlokący się za pługiem)... Możnaby w tym poecie szczególnego rodzaju, bardzo indywidualnym i współczesnym, dopatrzyć się wielu analogji z Ropsem i Goyą, nawet z Klingerem i... Maupassantem. P. Matuszewski nazywa go „alegorzystą *sui generis*, który pomimo skłonności do sztuki ideowej, był i pozostał realistą, i pomysły swoje wypowiada nie zapomocą koncepcji nawskróś fantastycznych, lecz zapomocą odpowiedniej kombinacji żywiołów życia codziennego z pierwiastkami o charakterze alegorycznym“. Na człowieka rzuca dużo indywidualnego światła kartka z pamiętnika p. t.: „Moi przyjaciele“, oraz... umieszczony obok rysunek: „Pamiątka z prosektorjum“, przedstawiający zwłoki tak tragicznie zmarłego krakowianina, Wł. Ord.

Oby „Tygodnik ilustrowany“ jak najwięcej prenumeratorom swoim takich dostarczał numerów! *L'argent... oblige!...* *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8